

TATERNIK

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego.

Rok V. Lwów, 15. grudnia 1911. Nr. 5.

JÓZEF GRABOWSKI.

Przez trzy przełęcze.

Bawiliśmy*) już od kilku dni na południowej stronie Tatr, podziwiając Szczyrbskie Jezioro i Mięguszowiecką Dolinę w przecudnej, białej, zimowej szacie. Niedawno szalała całą noc gwałtowna burza śnieżna, i choć to była połowa kwietnia, okryła lasy bogatą okiścią, zasypała żleby i kotły skalne miękkim, białym puchem, na ostrych graniach pozawieszała szerokie, dziwnie powyginane i grożące lada chwila przejechaniem się w dolinę nawisy śnieżne. Poprzedniego dnia ociepliło się nieco i w kilku miejscach Mięguszowieckiej Doliny spadły niewielkie lawiny.

To też z pewną obawą wstawaliśmy wczesnym rankiem w dniu 16. kwietnia 1911 po wygodnym, ciepłym noclegu w schronisku przy Popradzkim Stawie, by przez Przełęcz Koprową, Zawory i Liliowe powrócić do Zakopanego. Pogoda zapowiadała się z początku nieszczególnie: wiatr dmuchał silnie od strony Doliny Złomisk i pędził przez Żelazne Wrota całe stada lekkich, postrzępionych obłoczków, które gdzieniegdzie zbijały się w większe gromady, osnuwając szczyty i przełęcze. Na Osterwie zrywały się tumany śnieżnego pyłu i wznosiły się wysoko, jakby chciały białe śniegi na górach połączyć z białemi chmurami na niebie.

Dla nas najważniejszem pytaniem było, czy niebezpieczeństwo lawin będzie nam istotnie zagrażać w naszej wyprawie, czy też jeszcze dzień dzi-

*) Podpisany wraz z W. Kulczyńskim i K. Piotrowskim.

siejszy uda nam się ukraść zbliżającej się nieubłaganie, burzliwej wiośnie górskiej.

Wyszedłszy ze schroniska, przekonałem się, że powierzchnia śniegu pokryta jest grubą warstwą szreni, i że przynajmniej przez kilka godzin, zanim słońce tego lodowego pancerza nie stopi, droga przedstawia się zupełnie bezpiecznie. Szybko więc przypasujemy narty i — nie zważając na sceptycyzm spiskiego przewodnika Franza, który bawił tu z partyą narciarzy z Bielska i żegnał nas słowami: „Glück auf! Aber heute werden Sie vielleicht in Pod Bansko oder im Tychatal schlafen“ — opuszczamy schronisko, podążając starymi śladami nart w głąb doliny.

Zaraz po wyjściu z lasu ślady gubią się w jednolitej, jakby szklanej powierzchni szreni, po której północny wiatr miecie z charakterystycznym szelestem drobne igiełki zmarzniętego śniegu. Nad granią Mięguszowieckich Turni przewraca się i kłębi zwał chmur, jak biała, wichrem targana grzywa jakiegoś potwornego smoka; natomiast łańcuch Baszt rysuje się czysto i wyraźnie na ciemnym błękicie nieba.

Wkrótce posuwanie się naprzód staje się bardzo uciążliwe: narty ślizgają się na boki po gładkiej powierzchni szreni, a wiatr co chwilę cofa nas o kilka kroków w tył, lub spycha z obranej drogi. Próbujemy więc iść bez nart, które ciągniemy za sobą na sznurkach. Ale i ten system okazuje się niedługo fałszywym, bo warstwa szreni staje się cieńszą i zaczynamy się z głuchym trzaskiem zapadać po kolana i wyżej. Radzi nie radzi przypinamy z powrotem narty i zakosami podążamy w górę, omijając na lewo próg do Hińczowych Stawów.

Tymczasem słońce, wyszedłszy z za chmur, posunęło się już dość wysoko na niebie i zalało złotem światłem białe żleby i czarne, gładkie urwiska pionowych ścian Szatana i Baszty Zadniej. Śnieg zaczyna mięknąć i lepić się do nart, więc przyśpieszamy kroku, by przed godziną dziesiątą stanąć na przełęczy. Ale zaledwie wyszliśmy na płaszczyznę Hińczowych Stawów, wiatr, który dotąd przelatywał nieszkodliwie nad naszemi głowami, rzucił się na nas ze zdwojoną siłą i począł nas niemiłosiernie siec po twarzach ostremi jak szpilki igiełkami lodu. Mimo to musimy się zastanowić nad obiorem drogi i wyszukać najlepsze przejście przez długą grań, łączącą Hlińską Turnię z Koprowym Wierchem. Wyciągam mapę i, drżąc z zimna, choć mrozu nie było, staram się przy jej pomocy odnaleźć Wyżnią Przełęcz Koprową; lecz wiatr jest zdania, że przyglądanie się mapie powinniśmy sobie zostawić na później i drze ją wkrótce w kawały. Po krótkiej naradzie decydujemy się wyjść na szerokie siodło, znajdujące się na wprost nas, mniej więcej w środku grani. Opada ono ku nam wprawdzie bardzo stromem zboczem, przykrytem jednak, jak się zdaje, stosunkowo najmniej grubą warstwą świeżego śniegu; zresztą przejmujące do kości podmuchy wichru nie dają nam się długo namyślać.

Podchodzimy do góry i w miejscu, gdzie teren staje się stromszym, zdejmujemy narty, by zbocze ze względu na niebezpieczeństwo lawiny prze-

ciąć w linii pionowej, a nie poziomej lub ukośnej, co musielibyśmy uczynić, idąc w zakosy. Szreni tutaj ani śladu; zapadamy się po kolana, czasem po pas, w głębokim, puszystym, świeżym śniegu. Narty, które wleczemy przywiązane na gurtach do dłoni, ciążą okropnie i ściągają nas w dół; więc zmęczeni, sapiąc jak lokomotywy towarowego pociągu, posuwamy się bardzo wolno. A tymczasem im wyżej, tem gorzej; co kilka kroków któryś z nas obsuwa się na dół o metr lub dwa; po każdem takiem obsunięciu się, staczają się w dół dwie bryły śniegu, porywają za sobą inne, rosną, pęcznieją — obawiamy się, że lada chwila ruszy całe zbocze. Nareszcie pierwszy jest już na przełęczy — dochodzi do niego drugi — ja, idąc ostatni, jestem jeszcze o jakieś dziesięć metrów poniżej, gdy nagle zaczynam wolno płynąć na dół wraz z śniegiem Po jakichś pięciu metrach takiej jazdy udało mi się zatrzymać przez zabicie czekana w warstwę starego śniegu. Nie chcąc ryzykować powtórnego przejechania się z lawiną, obwiązuję się liną którą mi towarzysze moi z góry rzucili, i trawersując na lewo, wychodzę na przełęcz po skałkach.

Dochodzi godzina dziesiąta, a więc w czasie jak na zimowe warunki dość krótkim, bo w niecałe cztery godziny od schroniska przy Popradzkim Stawie, stanęliśmy na przełęczy.

Tymczasem wiatr ustał prawie zupełnie i chmury się gdzieś podziały. U stóp naszych rozciąga się długa Hlińska Dolina, zasypana niepokalanie białym, miękkim kobiercem śniegu. Nad nią wznoszą się z jednej strony strome, ponure, jeszcze dotąd cieniem pokryte ściany Szczyrbskiego i Hrubego, z drugiej łagodniejsze, jaskrawem światłem słonecznem rozjaśnione zbocza Koprowego Wierchu.

Ale czas nagli; rzucamy jeszcze kilka spojrzeń za siebie, by się pożegnać z zimowym przepychem Mięguszowieckiej Doliny, i próbujemy schodzić. Żeby się dostać do miejsca, gdzie można przypiąć narty, musimy przejść około dwustu metrów stromej, grubą warstwą szreni pokrytej płaszczyzny, wśród której tu i ówdzie sterczą ostre skałki; z żalem spoglądamy na szeroki, łagodnie ku dolinie spływający żleb z pod Wyżniej Przełęczy Koprowej i uzbrojeni w raki, zabieramy się ostrożnie do schodzenia. Kieruję się z początku w prawo, ku owemu szerokiemu żlebowi, chcąc jak tylko teren stanie się mniej stromym, przypiąć narty, które, przywiązane do rąk, niemiłosiernie zawadzają. Towarzysze moi asekurują się liną i schodzą wprost w dół; po chwili słyszę za sobą charakterystyczny szelest, jaki wydaje ciało, zsuwające się po lodzie, i okrzyk: „Władek, trzymaj!!“ — Asekuracya nie była więc zbyteczną. Dostawszy się nareszcie na jakąś trochę mniej stromą płaszczyznę, wybijam czekanem podłużne stupaje i ułożywszy w nich narty, z niemałym trudem przypinam je do nóg. Jazdą poprzeczną zesuwam się w dół po kilkanaście metrów, zatrzymując się ostrożnie co chwilę. Ale wszelkie ostrożności nie na wiele się przydały; wpadam na płytę litego lodu i z czekanem pod pachą zaczynam zlatywać coraz prędzej wprost na ostre głazy, rysujące się ciemną plamą o kilkadziesiąt metrów

podemną. Gdym się nareszcie zatrzymał, przekonałem się, że i moi towarzysze skrócili sobie drogę: o kilkadziesiąt kroków na lewo znaczą się na szreni dwie równoległe, prosto w dół biegnące szramy od czekanów, a poniżej odzywają się wesołe okrzyki, dowodzące, że nieobjęta programem jazda wprost w dół odbyła się bez wypadku. Zmniejszam więc nacisk na czekan, który tkwiąc pod mem ramieniem spełniał rolę spadochronu, i w tej nowo wynalezionej pozycyi płużącej przebywam resztę lodowego pola. W końcu nieco jazdy poprzecznej, parę łuków, i jesteśmy znów razem.

Odpocząwszy chwilę zabieramy się do dalszej drogi. Jazda dnem doliny wspaniała: na warstwie szreni leży kilka centymetrów świeżego śniegu, który znakomicie ułatwia prowadzenie nart; nachylenie niewielkie, nie potrzeba więc posługiwać się męczącą pozycyą oporną. Kilka stromszych progów omijamy, zjeżdżając łukami po zboczach Koprowego Wierchu i lekko, bezszelestnie niemal mkniemy po białem dnie doliny ku widnym w dali lasom w Ciemnych Smereczynach. Wkrótce mijamy pierwsze limby; gorące pocałunki słońca zdjęły z nich okiść i ciemne ich sylwety znaczą się ostro na kredowej białości śniegu. W lesie cała gmatwanina zwalonych pni, spróchniałych konarów, kęp borówek i bujnych zarośli, która letnią porą tak uciążliwem czyni przejście z Doliny Hlińskiej do Ciemnych Smereczyn, śpi teraz spokojnie, otulona grubym śnieżnym kożuchem. Dostawszy kilkakrotnie po twarzy od zwisających gałązek smreków, stajemy nad łożyskiem potoku; istnienie jego poznać można jedynie z gniewnego łoskołu, z jakim spieniona woda próbuje rozbić lodowy pancerz, nałożony przez nieubłaganą zimę. Przechodzimy więc bez przeszkody na drugą stronę i na niewielkiej polance rozkładamy się na zasłużony dłuższy odpoczynek.

Wiosna unosi się już w powietrzu; jakieś ciepłe, pełne żywicznych aromatów podmuchy chodzą po lesie i poruszając gałęzie drzew rzucają na śnieg cudną, drgającą tkaninę z złotych plam słonecznych i błękitnych cieni. Mnóstwo ptaków, tak wielkie, jakiego nigdy nie zdarzyło mi się w Tatrach widzieć lub słyszeć w lecie, świergoce donośnie, z jakąś namiętną nutą w głosie, jakby wieszcząc światu twórczą, żywiołową potęgę zbliżającej się wiosny.

Pokrzepiwszy obficie swe siły, siedzieliśmy jeszcze długą chwilę, zasłuchani w tę dziwną, pełną radosnej mocy melodyę budzącej się do życia po długim zimowym letargu górskiej przyrody.

Gdyśmy wreszcie ruszyli w dalszą drogę, było już dobrze popołudniu; szybko więc kilkoma zakosami wydostajemy się z lasu, mijając zasypane śniegiem schronisko, i zaczynamy się wspinać na dość stromy próg, wiodący do kotła pod Zaworami. Wybieramy oczywiście miejsca najmniej pochyłe, bo śnieg zamienił się już w jakąś wodnistą masę, i wkrótce stajemy przy wielkim głazie, mniej więcej na połowie drogi do przełęczy.

Roztacza się stąd wspaniały widok na cieniem pokrytą, olbrzymią, niepodzielnie nad całą doliną panującą ścianę Hrubego; z pod białego całunu śniegu sterczą groźnie, jakby żebra jakiegoś olbrzymiego kościotrupa,

czarne, pionowe, skalne płyty. Spoglądamy na lewo, ku Ciemnosmereczyńskim Stawom. Oświetlone słońcem, wbrew swej nazwie, wprost rażą jaskrawą białością; i siklawa, która w lecie, błyszcząc jak srebrna wstęga, z szumem stacza swe wody w dolinę, śpi teraz cicha i niewidoczna pod grubym pancerzem lodu.

Od przełęczy dolatuje ku nam chłodny podmuch; widocznie wiatr obudził się z południowej drzemki i przypomina nam teraz, że musimy się śpieszyć, jeśli nie chcemy w jego towarzystwie nocować. Łagodne zbocze od kotła do Zaworów przebywamy wprost, nie robiąc ani jednego zakosu; rozmiękły, choć wcale nie lepiący się śnieg ułatwia nam to znakomicie.

Przełęcz jest wygodna i szeroka i zaprasza niemal do dłuższego odpoczynku; ale dochodzi godzina czwarta, a my mamy jeszcze długi szmat drogi przed sobą. Wyprawa w stronę Walentkowej, jak to jeszcze rano przewidywaliśmy, przyniosła nam klęskę: z licznych, stromych żlebów wybiegały ku dolinie szare macki lawin; szeroko rozwarte paszcze innych czekały tylko sposobności, by wyrzucić z siebie nadmiar zalegającego je śniegu. Kierujemy się więc z powrotem ku przełęczy i wązkim, łagodnie nachylonym żlebem spływamy na skrzydłach nart do Doliny Cichej. Zjazd piękny bardzo, ale nie tak długi i wspaniały, jak Doliną Hlińską.

Po drodze miniaturowa katastrofa z lawiną: gdyśmy zmuszeni byli zjechać po stromszem trochę zboczu, śnieg poruszony nartami jednego z mych towarzyszy, z jakiemś ciężkiem stęknięciem, jakby niezadowolony, że przerywamy mu błogi spoczynek, stoczył się w wielką szarą kulę. Sprawca tej katastrofy, obsunąwszy się parę metrów w ślad za lawiną, zjechał zresztą bez szwanku.

Po kilkuminutowej wędrówce lasem dochodzimy do szerokiej grzędy, która wznosi się stromo ku górze i wyprowadza wprost na niewielkie wzniesienie w szerokiem siodle Liliowego. Posuwamy się naprzód ostrymi drobnymi zakosami; samym grzbietem grzędy, bo z obawy lawin nie chcemy zapuszczać się za daleko w żleby.

Wreszcie słońce zaczyna się chylić ku zachodowi i siny mrok osnuwa lasy w dolinie; pas złotego światła ucieka przed nami coraz chyżej do góry i coraz zimniejszy wiatr przelatuje po zboczach; śnieg pokrywa się cieńką skorupą lodu, która głucho chrzęści pod nartami. Idziemy w milczeniu, coraz forsowniej i z coraz większą zaciekłością, by koniecznie osiągnąć przełęcz przed nastaniem zupełnych ciemności. Już tylko same czubki szczytów świecą różowem światłem; z za Tomanowej Przełęczy wybiegają ku nam liliowe mgły i przepadają gdzieś w ciemnych głębiach Cichej Doliny; wicher zaczyna znowu hulać z wściekłością i usiłuje nas zrzucić w dół, jakby chciał powetować ranne niepowodzenie. Mimo to idziemy wciąż, uporczywie, bez odpoczynku.

Na koniec około w pół do ósmej stajemy na Liliowem i znużeni upadamy na śnieg; otula nas swemi pajęczemi skrzydłami szary mrok wieczorny, zamazuje ostre kontury gór, nad dolinami rozciąga nieprzenikniony

płaszcz ciemności. Nagle, gdzieś nizko przed nami zabłysło światło; jak mała, żółta iskierka zdawało się wsiąkać w przemożną czerń zbliżającej się nocy, w końcu zgasło zupełnie. Widocznie ktoś przyszedł do schroniska na Gąsienicowej Hali; zapewne zostanie tam na nocleg. Pocieszająca myśl, że nie będziemy zmuszeni wracać jeszcze dziś do Zakopanego, że niezadługo będziemy mogli rozciągnąć się wygodnie w schronisku i zasłużoną ucztą pokrzepić swe siły, postawiła nas odrazu na nogi.

Z dawnych moich występów narciarskich przypominam sobie, że zjeżdżając z Liliowego trzeba się trzymać wciąż zboczy Beskidu; uprzedzam o tem mych towarzyszy, zapewniamy się wzajemnie, że będziemy jechać tuż za sobą, aby się w ciemnościach nie pogubić i zaczynamy zjazd. Ale zaraz wpadamy na jakieś skałki, potem na szreń, jeden się obsuwa, drugi przejeżdża szczęśliwie i już jedność nasza rozbita. Wołamy, próbujemy dać znak latarką, którą nam zresztą zaraz wiatr gasi — wszystko napróżno. Wreszcie zjeżdżamy ostrożnie dalej; gdzieś w dole coś krzyczy i gwiżdże i znowu krzyczy, lecz wicher wyje jak szalony i wszystkie te głosy można śmiało na jego karb położyć. Po chwili przekonujemy się, że jednak to jest głos ludzki; ale tym razem odzywa się za nami. Wracamy więc, wrzeszcząc również jak można najgłośniej i spotykamy naszego zgubionego towarzysza, który, jak się dowiadujemy zjechał sobie wprost na dół po wielkim progu z Liliowego.

Po kilku jeszcze podobnych epizodach docieramy do schroniska, gdzie zastajemy znajomych narciarzy. Na miłej pogawędce i jeszcze milszem zadośćuczynieniu zgłodniałym żołądkom upływa reszta wieczoru. W końcu cichną rozmowy, każdy układa się jak może najwygodniej na tapczanach i zapada w kamienny sen. A na dworze huczy wiosenny wicher i niesie z sobą zagładę tej cudnej, białej, zimowej szacie górskiej...

Z zapisków taternika.

I. O nowej formie opisu dróg tatrzańskich.

Dla żadnego sportu nie posiada fachowa literatura tego znaczenia, jak dla wysokogórskiej turystyki. Gdy bowiem dla uprawiania przeważnej części sportów wystarcza znajomość odnośnych prawideł, w ramach których chodzi o dojście do jaknajwiększej sprawności fizycznej, bogata i różnorodna duchowa treść turystyki — odświeżana bezustannie nowymi prądami i podlegająca ciągłej ewolucyi — nie da się ująć w skostniałe, martwe reguły. Rozszerzanie i pogłębianie idei taternictwa, wytwarzanie nowych zasad ogólnych dokonywa się wprawdzie w duszach jednostek, właściwy jednak swój wyraz znajduje dopiero w literaturze. Toteż, jak wogóle literatura jest odzwierciedleniem ogólnego stanu duchowego społeczeństwa, tak specyalnie piśmiennictwo turystyczne daje nam dokładny obraz, na jakim poziomie stoi w danem środowisku turystyka górska, jakie nurtują w niej prądy. I przeciwnie: jaki stan turystyki, taki poziom fachowej literatury.

Jednym z objawów tej wzajemnej współzależności, tego odbijania się ewolucyi turystyki w piśmiennictwie, było wykształcenie się w literaturze tatrzańskiej nowego sposobu opisywania dróg górskich. Dokonało się ono pod wpływem rozbudzenia się w taternictwie pierwiastków sportowych i równolegle z nimi rozwijającej się zasady chodzenia bez przewodnika. Że nowa forma opisu stała się wyrazem nowego pojmowania celów zwiedzania gór — nie trudno wykazać. Kwestyi tej dotknął Kordys w recenzyi mego Przewodnika po Tatrach (Taternik 1911 str. 56).

W ubiegłej epoce naszego taternictwa głównym celem zwiedzania szczytów był roztaczający się z nich rozległy, piękny widok. Droga górska, jako taka, była środkiem do celu. Turysta złożywszy prowadzenie górskimi szlakami w ręce „syna gór“, nie potrzebował się troszczyć o wynajdywanie właściwej perci, kombinowanie przejścia wśród chaosu żlebów, ścian i grani. Będąc spokojnym o drogę, tem pełniej mógł wyzyskać krajobrazową stronę wyprawy — o co mu przedewszystkiem chodziło. Baczniejsze zainteresowanie się szczegółami przejścia następowało dopiero, gdy w grę zaczął silniej wchodzić moment niebezpieczeństwa (w pojęciu odpowiadającem danemu okresowi i danej jednostce). Toteż w opisach ówczesnych wypraw mówi się dużo, lecz ogólnikowo o niebezpieczeństwach i trudach wyjścia, opisuje się szeroko i szczegółowo panoramę szczytową; nie znajdziemy tam jednak dokładnego obrazu drogi, którą się na szczyt dążyło, nie znajdziemy takich wskazówek, by na ich podstawie można było samodzielnie przebyć opisywany szlak. Wobec bowiem powszechnie panującego przekonania o konieczności brania przewodnika-górala, nie odczuwano potrzeby dawania podobnych wskazówek *).

Zmiana w sposobie opisywania wycieczki dokonała się w następnej fazie taternictwa, gdy na pierwszy plan wybiły się elementy sportowe, t. zn. kiedy obok estetycznych przeżyć głównym celem chodzenia po górach stało się dążenie do pokonywania trudności i niebezpieczeństw terenu górskiego. Zainteresowanie się w stosunku do szczytów uległo przemianie; pociągać zaczęły nie szczyty o wspaniałym widoku, lecz wierchy, których osiągnięcie wymagało nietylko samego wysiłku fizycznego, lecz połączone było z niebezpieczeństwem i technicznemi trudnościami. O powodzeniu szczytu decydować poczęła zatem droga nań wiodąca; im ta trudniejsza, tem wierch popularniejszy, częściej zwiedzany. Skoro zaś sama droga stała się owym przyciągającym czynnikiem, poczęto ją daleko dokładniej niż przedtem opisywać; niekiedy w opisach pomijano nawet wszystko, co się jej nie tyczyło (widoki, wrażenia itd.). Szczegółowość w kreśleniu drogi uwarunkowana była jednak jej stopniem trudności; szlaki zwykłe, łatwe, zbywano ogólnikowo **).

By opis drogi górskiej doszedł u nas do obecnej formy, by równomiernie traktował trudne i łatwe partye skalne, zwracał baczną uwagę na kierunek,

*) Oczywiście ówczesne artykuły turystyczne, o ile chodzi o wiadomości naukowe, głębokość obserwacyi, umiejętność kreślenia wrażeń i przeżyć na tle świata gór, są często ogromnie cenne i wysoką posiadają wartość.

**) Dlatego nie mogę zgodzić się na zdanie Kordysa, wyraż ne w recenzyi mego Przewodnika, że dzisiaj literatura tatrzańska zawiera dostateczną ilość informacyi co do dróg górskich, że zatem autorowi Przewodnika odpada całkiem trudność zebrania materyału. Zapewne jeśli chodzi o przejścia współcześnie dokonane, to opisano je prawie wszystkie, i to dostatecznie szczegółowo. Opisy jednak szlaków zwykłych, poprzednio odkrytych, są w dawniejszej literaturze taternickiej zupełnie niewystarczające, wobec odmiennego sposobu opisywania, nowsze zaś artykuły pomijają je lub zbywają w słowach: „zbiegliśmy zwykłą drogą“ itp. Dawniejsze przewodniki (tak polskie jak niemieckie) nie zawierają również dobrych w dzisiejszem pojęciu opisów. O ile zatem danemu autorowi z autopsyi nie są znane owe szlaki, to literatura nie da mu odpowiednich informacyi. Brak ten usunięty będzie dopiero z chwilą ukazania się wszystkich tomów Przewodnika J. Chmielowskiego.

kolejne następstwo miejsc — trzeba było drugiego czynnika, a było nim chodzenie bez przewodnika. Taternik, który pragnie samodzielnie wedrzeć się na szczyt, musi nań drogę odkryć (niezależnie od tego, czy szczyt zdobyty, czy nietknięty stopą ludzką). Muszą go równocześnie interesować jej łatwe jak trudne fragmenty, gdyż trzeba je związać ze sobą w jedną linię. Musi baczyć na wszystkie charakterystyczne szczegóły terenu by wyszukać w nim przejście. Przez dokładną analizę rzeźby i właściwości góry, przez konieczność ciągłego oryentowania się — która to funkcya przypadała przedtem w udziale przewodnikowi — w umyśle turysty powstaje plastyczny obraz drogi w całym jej przebiegu. I dopiero taki turysta, który liczy się z chodzącymi bez przewodnika, uzna potrzebę dawania dokładnych informacyi i opisze z możliwą ścisłością i szczegółowością poznaną czy odkrytą drogę *).

Ponieważ zaś subjektywizm, kreślenie własnych przeżyć, nastrojów, myśli, zaciera jasność opisu drogi, wytworzyły się w turystycznej literaturze dwa rodzaje opisu. Jeden sprawozdawczy, prawdziwy opis drogi o charakterze przewodnikowym, drugi literacki obszerniejszy obraz wycieczki, w którym pierwiastek subjektywny i objektywny kombinują się w najróżnorodniejszych odcieniach.

Pierwsze polskie opisy dróg w dzisiejszej formie pojawiają się późno, bo w r. 1907, a wychodzą z pod pióra taterników chodzących bez przewodnika **). Takie są psychologiczne niejako przyczyny powstania nowego sposobu opisywania dróg tatrzańskich. Sama forma została przyjęta z literatury alpinistycznej.

Wytworzenie się nowego rodzaju opisu miało dla taternictwa znaczenie większe, niżby się pozornie zdawało. Jak z jednej strony opis ten był skutkiem rozwinięcia się zasady bezprzewodnikowego chodzenia po górach, tak z drugiej stał się przyczyną pełnego rozkwitu tejże. Tego rodzaju bowiem opis ułatwiał ogromnie obywanie się bez przewodnika, dawał możność podjęcia wycieczki, której zupełnie samodzielne wykonanie byłoby nieraz ponad siły turysty. Przez dokładną obserwacyę formacyi terenu, przez konieczność ścisłego wyrażania się, wytworzyło się odrębne słownictwo turystyczne, specyalna terminologia na określenie miejsc i charakteru terenu, sposobu zwalczania technicznych trudności itd. Przez wielkie nagromadzenie materyału turystycznego***) wzrosła znajomość najgłębszych zakątków Tatr, a przez opisanie wszystkich nowo zdobytych szczytów i turni, którym musiano nadać nazwy, wzbogaciło się i ustaliło polskie imiennictwo tatrzańskie.

Na dzisiejszych jednak opisach nowo odkrytych dróg ciąży kilka wad, sprawiających, że opis pierwszego przejścia nie zawsze jest wiernym obrazem danej drogi, nie zawsze dla badacza Tatr, autora przewodnika, czy wreszcie dla samego turysty jest miarodajny. Dokładność i ścisłość jego zależy przedewszystkiem od umiejętności opisywania, trafności określeń, zdolności zapamiętywania szczegółów drogi i ich kolejnego następstwa; zdolności te są u różnych turystów rozmaicie rozwinięte i stąd niejednolitość opisów: obok doskonałych niejasne

---

*) Oczywiście można chodzić z przewodnikiem, a pomimo tego dawać dobre opisy dróg; dzieje się to wówczas, kiedy turysta zdolny jest do podjęcia samodzielnej wyprawy, kiedy zatem przewodnik spełnia rolę raczej towarzysza. Nie będzie bowiem za śmiałem postawienie tezy, że im mniejszy współudział turysty w przeprowadzeniu wycieczki, w wyszukiwaniu przejścia, tem mniejsza u niego zdolność pamięciowego ogarnięcia całości drogi, tem obraz jej bardziej zamazany. Z tego powodu turyści, pozornie nie biorący przewodnika, którzy jednak są biernymi współtowarzyszami — zapytani o jakiś dokładniejszy szczegół z drogi — zazwyczaj nie umieją dać wystarczającej odpowiedzi.

**) Za takie uważam artykuły pp. Klemensiewicza, Kordysa i Maślanki w Pamiętniku T. T. z r. 1907.

***) Dość wymienić, że w dziale Taternika „Nowe drogi“ ukazało się dotąd blizko 130 opisów dróg tatrzańskich.

i mylne *). Wiadomo następnie, że ocena technicznych trudności pewnej drogi przy dokonywaniu pierwszego przejścia stoi w zależności od czynników psychicznych, potęgujących wrażenie, a nie występujących przy następnych powtarzaniach (wewnętrzny niepokój, niepewność itd.); z tego powodu częste przecenianie trudności, których stopień ustala się na podstawie sądów (byle nie zabarwionych tendencyjnie, co się nieraz zdarza), wypowiedzianych przez szereg innych, znających daną drogę, turystów **). A dalej: dużo czasu w pierwszych przejściach zużyć trzeba na próby, szukanie właściwej drogi; nadwyżka ta przy dobrym opisie odpada dla następców i stąd płynie wielka nieraz rozbieżność ***). Inna luka: nie zawsze nowa droga jest najszczęśliwiej wybrana; późniejsze partye odkrywają niejednokrotnie bardzo ważne waryanty, upraszczające lub ułatwiające poprzedni szlak ****). Dotychczasowe opisy wreszcie ograniczały się zazwyczaj tylko do podania stopnia trudności danego przejścia, nie podając ogólnej charakterystyki tegoż n. p. jego piękności pod względem taternickim czy krajobrazowym, wskutek czego jedyną miarą popularności jakiejś drogi stały się jej techniczne trudności.

Wymienione powyżej względy dostatecznie chyba uzasadniają ważność publikowania opisów także drugich i następnych przejść, o ile przynoszą nowe szczegóły, uzupełnienia i sprostowania. Dopiero bowiem opis opracowany na podstawie zesumowania uwag jaknajwiększej ilości turystów da nam prawdziwy, wierny obraz zuchwałych szlaków tatrzańskich.

MIECZYSŁAW ŚWIERZ.

Nowe drogi.

Solisko. II. całkowite przejście grani od północy na południe 26 sierpnia 1911.

Jezioro Popradzkie 5^{10}, Trzygań 5^{40}, skąd wprost w dół na dno Doliny Młynicy (5^{55}); odpoczynek poniżej ściany stawiarskiej Capiego Stawu 8^{30}—9^{30}; stąd po zboczu góry łatwo wprost w górę na północną grań Soliska (10^{10}) i nią ku pd. na główny wierzchołek (10^{35}—10^{55}; 2414 m).

Południowa grań Soliska urywa się zaraz poniżej wierzchołka łuskowatemi płytami, poprzez które zeszliśmy wolno tuż przy grani zachodząc łukiem od lewej. Następnie łatwiej w dół na przełęcz i z drugiej strony również bez trudności (od prawej strony) na południowy, niższy wierzchołek (niem. Annaspitze, an. 2399 m.; 11^{30}—11^{35}). Opadająca ku pd grań jest na dłuższej przestrzeni zupełnie łatwa i trawiasta. Potem zwęża się znacznie, przechodząc w kilka większych występów skalnych (wznoszą się one jednak niezbyt wysoko ponad z obu stron trawiaste stoki góry). Natychmiast na pierwszy występ — albo wprost z przodu poprzez pionowy stopień, albo też (łatwiej) od prawej strony przy pomocy stromej rysy. Następujące występy przekraczamy granią, ostatni obchodzimy po prawej aż do siodła na pn. od Zadniej Turni Soliskowej.

Z siodła kilkunastometrowy trawers w prawo, poczem słabo w lewo wznoszącą się rynną — w pięknej lecz nietrudnej wspinaczce — do krawędzi grani

*) Por. wschodnia i północna ściana Wysokiej (Taternik IV. str. 41 i II. str. 106).

**) Np. wschodnia grań Mięguszowieckiego, Batyżowiecka Grań, wschodnia grań Żabiego Konia.

***) Np.: I. prz. pn. ściany Mnicha $1^1/_2$ g. II. — 45 min., I. prz. zach. ściany Małej Wysokiej $2^3/_4$ g. II. — 1. godz.

****) Typowy przykład: Żabia Przełęcz od pn.

i nią łatwo na wierzchołek Zadniej Turni Soliskowej*) (niem. Hinterer Soliskoturm *), także Dyhrenfurthturm, an. 2350 m; $1^{08}—1^{15}$). Zejście ku pd. jest strome i piękne. Najpierw poprzez bardzo stromą ściankę o dobrych listwach. Poniżej niej spadzista płyta, przerznięta pęknięciem, sprowadzająca na trawiastą platformę (dobre miejsce do stania). Potem od lewej poprzez bloki prosto w dół, krótki trawers przez płytę w prawo (ku zach.) i w dół do najniższego 3-metrowego stopnia, poprzez który opuszczając się wolno na rękach osiągamy wązką przełączkę (an. 2325 m).

Z drugiej strony podnosi się Przednia Turnia Soliskowa. Najpierw 6 m łatwo w górę do małego wcięcia. Potem bardzo strome i ostre spiętrzenie (trudne, obejście po prawej nieco łatwiejsze). Powyżej w krótkiem zacięciu po lewej stronie do góry na blok, stąd po wązkiej półce trawiastej krótki trawers w lewo, poczem po spadzistej płycie z powrotem do grani. Pionowy występ w grani obchodzimy po prawej obok krótkiej szpary (rodzaj tunelu; szczupli mogą się przez nią przecisnąć). Potem poziomem ostrzem grani na Przednią Turnię Soliskową*) (niem. Vorderer Soliskoturm *), także Rumpeltturm, an. 2342 m; $2^{35}—3^{23}$). Grań ciągnie się dalej na dłuższej przestrzeni poziomo ku pd., potem opada ostrymi stromymi stopniami w dół (można je obejść łatwo po prawej po trawiastych, miejscami wysoko w górę zachodzących upłazach). Ku końcowi — nieopodal Przełęczy Soliskowej — wysterczają z grani dwie bardzo smukłe igły skalne. Z przełączki na pn. od pierwszej zjeżdżamy stromym kominem na lewo 10 m. (pętla). Potem u stóp igieł skalnych w prawo do grani, sprowadzającej łatwo trawiastymi stopniami na Przełęcz Soliskową (an. 2285 m; $4^{25}—4^{30}$.

Z przełęczy obok grani mniej więcej 2 długości liny skośnie w lewo w górę do półki trawiastej po stronie Doliny Młynicy. Z dwu równoległych do grani prowadzących kominów (króciej i mniej stromo) prawym do otwartej niszy. Na jej prawej ścianie w górę, poczem biorąc się w lewo przesuwamy się między dwoma blokami i zaraz potem osiągamy poziomą grań szczytową. Po przejściu ostrego konia i stromej płyty stajemy na Małem Solisku [wierzchołek główny (niem. także Martinturm); 2336 m; $4^{55}—5^{05}$] Południową granią w dół na siodło (an. 2304 m; 5^{25}) i od lewej zachodząc łatwo na południowy wierzchołek Małego Soliska (niem. także Döllertum; 2320 m; $5^{28}—5^{45}$). W dół na przełęcz (an. 2290 m; 5^{49}) i z drugiej strony — zachodząc zrazu w prawo — na północny wierzchołek Szczyrbskiego Soliska (an. 2320 m; $5^{55}—6^{00}$). Granią w prawo do małego wcięcia, stąd rynną w lewo w dół i percią kozią z powrotem do grani. Zachodząc dość znacznie na zach. stronę, wydostajemy się łatwo na południowy wierzchołek Szczyrbskiego Soliska (2301 m, $6^{10}—6^{15}$; wielki kopczyk). W dół ku pd. na szeroką przełęcz (6^{25}), z niej w dół w Dolinę Młynicy ($6^{45}—7^{00}$). Jezioro Popradzkie 9^{00}.

Grań Soliska stanowi w całości wdzięczną wycieczkę. Jej najpiękniejsze części, to przejście Zadniej Turni Soliskowej, oraz wyjścia od pn. na Przednią Turnię Soliskową i na Małe Solisko. Pozatem jest grań dość trawiasta i można ją w każdem niemal miejscu (zwłaszcza na stronę Doliny Furkotnej) opuścić.

Pomiary aneroidowe, jak wykazała zgodność z wysokościami punktów kotowanych, należy uważać za zupełnie dokładne.

Jadwiga Roguska. Gyula Komarnicki. Roman Kordys.

Mała Kończysta (2475 m) zachodnią ścianą**). Dnia 26-go sierpnia 1911 r. Niżej podpisani wraz z Józefem Łukaszewiczem.

Od Zmarzłego Stawu (1935 m) w Dolinie Złomisk podążamy zrazu jedną z dróg, wiodących na Przełęcz koło Drąga (ok. 2340 m), nie dochodząc

*) Nazwy tu po raz pierwszy ogłoszone.

**) W polskiej tatrzańskiej literaturze turystycznej mamy dwa opisy drogi, wiodącej na Małą Kończystą jej zachodnią ścianą, a mianowicie: w Nrze 2-gim

wszakże aż do samej przełęczy zbaczamy nieco poniżej niej w prawo — wybitnym, z początku dość szerokim, trawiasto piarżystym zachodem, ciągnącym się niemal poziomo pod zachodnią ścianę Małej Kończystej, i postępując nim ku południowi docieramy niebawem do miejsca, w okolicy którego wspomniany dopieroco zachód przechodzi przez rodzaj siodełka, jakie tworzy samodzielnie na prawo (na zboczu) stercząca turniczka ze wznoszącemi się na lewo od nas skałami Turni nad Drągiem (ok. 2417 m) [odtąd (prócz Króla) w trzewiczkach]. Po przejściu przez owo siodełko, przekroczeniu żlebu, spadającego od przełączki, leżącej w północnej grani Małej Kończystej bezpośrednio na północ od masywu tej ostatniej i kilkunastu jeszcze krokach pochodu — stajemy u właściwego wejścia w skały poniżej dolnego końca — już nawet zdaleka w oczy wpadającej, ok. 60 metrów długości liczącej, płytami wyłożonej, nadzwyczaj stromej, posad zachodniej ściany Małej Kończystej przerzynającej, rynny skalnej (po niem. Broeske-Koziczyński-Kamin), początek której (od Zmarzłego Stawu 1 $^{3}/_{4}$ godz.) osiągamy poprzez krótką, kilkumetrową ściankę. Rynną tą, przedstawiającą w dolnych partyach rodzaj ostrego, w masyw szczytu silnie wgłębionego zacięcia o niezbyt szeroko rozchylonych ścianach, wspinamy się (po części zapieraniem się) w górę. Mniej więcej w połowie swej wysokości tworzy ona nizki, wybrzuszony stopień (przewieszony blok), który pokonujemy wprost (Król, Zakrzewski i Łukaszewicz), albo też obchodzimy dość dużym, eksponowanym zygzakiem na lewej ścianie (Smoluchowski i Chmielowski). Górna część rynny przechodzi w pionowe, ciasne i gładkie kominy, w których zapieramy się. Najwyższy z nich kończy się potężną przewieszką. Przezwyciężamy ją przy pomocy wązkiej rysy — wprost*) (najtrudniejsze miejsce w całej drodze!), poczem wydostajemy się na niewielką platformę. Następuje mniej stroma, dość wązka rynna, wiodąca ok. 10 metrów skośnie w lewo (w niej zaklinowane bloki) i uchodząca wkrótce na szeroką, szutrową półkę, ciągnącą się poziomo, wszerz całej zachodniej ściany Małej Kończystej, mniej więcej w $^{3}/_{5}$ jej wysokości (licząc od omówionego wyżej zachodu. Zwróciwszy się ową półką w prawo (ku południowi) [waryant, znaleziony 23-go lipca 1909 r. przez pp. Komarnickich, prowadzi ową półką w lewo (ku północy), ku załamaniu (krawędzi), jakie tworzy zachodnia ściana Małej Kończystej z jej północno-zachodniem urwiskiem] dążymy nią kilkanaście metrów — popod całym systemem zbiegających od szczytu płyt (tu znaleźliśmy bilet wizytowy ś. p. Ludwika Koziczyńskiego), by minąwszy po drodze mało wyraźne żebro, zacząć się następnie posuwać łatwemi lecz stromemi skałami, zrazu prawie wprost w górę, a później nieco w prawo. Dotarłszy do stóp olbrzymiej, silnie nachylonej płyty [jest to miejsce, w którem wzmiankowany wyżej system płyt łączy się z południowo-zachodnią granią północnego (głównego) wierzchołka naszego szczytu] — kierujemy się nieco w lewo, a następnie prawą ścianą jakgdyby jakiegoś (mało zresztą wybitnego!) zacięcia, w dolnej części schodkowatą, w górnej zaś nadzwyczaj stromą i eksponowaną lecz bogatą w chwyty

---

„Taternika“ z r. 1907 (str. 27), zredagowany na podstawie listu p. Bröskego do J. Chmielowskiego, tudzież w Nrze 3-cim „Taternika“ z r. 1910 — pióra Dr. Gy. Komarnickiego. Pierwszy z nich jest nieco błędny zarówno co do kierunku drogi jak i co do definicyi służących do znalezienia jej objektów, charakterystyki układu skał, form wspinania się i t. d., drugi zaś opisuje szlak pierwszych zdobywców owej ściany tylko w dolnych $^{3}/_{5}$ jego częściach.

*) Poprzednicy nasi omijali tę przewieszkę — wychodząc na ścianę na lewo (patrz „Taternik“ z r. 1910, str. 49). Obejście owo jest według R. Kordysa (list do J. Chmielowskiego z dnia 24. sierpnia 1910 r.) „trudniejsze niż wstęp na Żabim Koniu.

i dobre stąpnięcia (tu pętla pp. Broeskego i Koziczyńskich) wspinamy się w górę (z lekkiem odchyleniem w prawo), aż do niedługiego, wąziutkiego, w poprzek w prawo ciągnącego się gzymsu. Czepiając się go rękami i wisząc po części na dolnej płycie — wydostajemy się na górną, dachowatą płytę i po niej na wybitną, boczną, bardzo stromo w dół opadającą, południowo-zachodnią grań*) (tu hak pierwszych zdobywców tej ściany) północnego (głównego) wierzchołka Małej Kończystej (na grani dobre miejsce do ubezpieczenia towarzyszów liną, którą to granią bierzemy się w lewo, t. j. ku północnemu-wschodowi, w górę i pokonawszy pod koniec nader oryginalną przewieszkę na samem ostrzu grzbietu (duża ekspozycya) — stajemy wkrótce na północnym (głównym) wierzchołku Małej Kończystej (2 godz.) [kropkowana linia, wkreślona na ilustracyi, umieszczonej na str. 49 „Taternika" z r. 1910, odpowiada opisanej wyżej drodze tylko po wspomnianą wyżej półkę; od tego punktu (położonego o 2 centymetry poniżej górnego brzegu ilustracyi) droga nasza zwraca się w prawo, — najwyższa zaś część wzmiankowanej dopieroco linii kropkowanej odpowiada waryantowi pp. Komarnickich]**) Droga niezwykle piękna, urozmaicona i w wysokim stopniu interesująca, technicznie — trudna (z wyjątkiem pokonania górnej przewieszki komina — wprost, które jest bardzo trudne***).

Janusz Chmielowski. Ignacy Król. Maryan Smoluchowski. Wacław Zakrzewski.

Świstowy Szczyt. I. przejście pn. zach grani. Podpisani dnia 18. sierpnia 1910 r.

Północno-zachodnia grań Świstowego Szczytu, odgraniczająca Dol. Świstową od Rówienek, dzieli się na dwie, odmienne charakterem części: niższą, która tworzy wyzębiony grzebień Świstowych Turni i wyższą jednolitą, właściwą grań Świstowego. Na pograniczu tych dwu systemów wznosi się, szerokiemi siodłami wiążący się z nimi, dość samodzielny Świstowy Róg (2112). Podpisani dokonali przejścia właściwej grani szczytowej (inne partye w tym grzbiecie zwiedzone były już poprzednio; por. „Taternik" 1909 str. 62 i Przewodnik J. Chmielowskiego t. IV. str. 29).

Z równinki na pośredniem piętrze Doliny Świstowej osiągamy stromym stokiem trawiastym przełęcz, położoną bezpośrednio na pn. zach. od Świstowego Rogu. Stąd ku płd.-wsch. dość szerokim grzbietem aż pod szczytową turnię

*) W opisie drogi zachodnią ścianą Małej Kończystej, znajdującym się w „Przewodniku" Dra Otto, dostarczonym autorowi przez p. Bröskego (wiad. pryw.) — grań ta figuruje jako „N. W. — Grat", a ścianka pod nią (gdzie pętla) — jako „Nordwand". Nic przeto dziwnego, iż pp. Komarniccy, pragnąc powtórzyć tę drogę na podstawie owego opisu — skierowali się omówioną wyżej półką — w lewo.

**) Znalezienie biletu, pętli i haka pp. Bröskego i Koziczińskich świadczy niezbicie o tem, iż udało się nam odszukać wreszcie drogę „klasyczną", t. j. oryginalną drogę pierwszych zdobywców tej ściany — również i w górnych $^{2}/_{5}$ jej częściach. Fakt ten stwierdza równocześnie — jakkolwiek tylko ubocznie — iż droga opisana przez Dra Gy. Komarnickiego w „Taterniku" z r. 1910 (Nr. 3) jest — w dolnych $^{3}/_{5}$ częściach ściany — zupełnie identyczna ze szlakiem pp. Bröskego i Koziczińskich, opisanym w „Taterniku" z r. 1907 (str. 27) i w „Przewodniku" Dra Otto z r. 1909 (str. 137) [porównaj uwagę Redakcyi „Taternika" w odsyłaczu na str. 50 tego pisma z r. 1910].

***) Zgadzamy się najzupełniej ze zdaniem Dra Gy. Komarnickiego, wyrażonem w Roczniku Węg. Tow. Karpackiego z r. 1911, iż droga zachodnią ścianą Małej Kończystej „gehört zu den schönsten und zugleich schwierigsten Klettereien des Trümmertales" (str. 19) i że „die unbestreitbare Schönheit dieser Tour und die interessante und genussreiche Kletterei werden dieselbe bei allen Freuden strammer Felskletttereien beliebt machen" (str. 20), sądzimy wszakże, że podany przez Dra Komarnickiego czas, wystarczający na przejście tej ściany (1 godz.) obliczony został przez niego stanowczo zbyt skąpo!

Ś. R., którą obchodzimy po stronie Dol. Świstowej wygodnemi półkami, doprowadzającemi nas na przełęcz od której wznosi się właściwa grań Świstowego Szczytu (wydostanie się na tę przełęcz od Dol. Świstowej nie byłoby prawdopodobnie łatwe). Grań opadająca od szczytu ku przełęczy tworzy dość szeroką a bardzo stromą ścianę, którą przerzyna w kierunku pionowym żlebik. Zrazu wspinamy się skałami po jego lewej stronie, później samem dnem, które w górnej części zwęża się i skręca nieco w lewo (krucha skała). Tu zwracamy się w prawo na spadzistą ścianę ograniczającą od prawej strony żlebik i dochodzimy do przewieszającego się miejscami, niewysokiego kominka. Nim wprost w górę (częściowo zapieraniem, średnio trudne) na pochyłe piarżysko, wyprowadzające w prawo na grań, która odtąd staje się znacznie mniej stromą. Obchodząc wielkie głazy na jej krawędzi przeważnie po zach. stronie, bez żadnego trudu osiągamy szczyt.

Grań monotonna i mało zajmująca, trudności (oprócz kominka) bardzo nieznaczne. Kazimierz Piotrowski. Mieczysław Świerz.

Kozia Turnia. Nowe wyjście (od południowego wschodu). 13 sierpnia 1911.

W grani, jaką Kozia Turnia opada w Dolinę Kiezmarską wyodrębniają się dwie turnie, z których skrajna urywa się w stronę Koziej Turni przewieszonym w profilu uskokiem. Od przełączki pod tym uskokiem (a więc między turnią skrajną a sąsiadującą z Kozią Turnią) schodzi w Dolinę Czerwonego Stawku wyraźny żleb. Do ujścia tego żlebu zdążamy niewysokim stożkiem piargów, opuszczając ścieżkę wiodącą od Zielonego Stawu Kiezmarskiego do Czerwonego Stawku, już niedaleko (ok. 75 m poniżej) tego ostatniego (8^{55} rano). Początek żlebu 9^{19}; an. 1820 m. Trawiastym żlebem wygodnie w górę aż do miejsca, gdzie przechodzi w wązką, skalistą rynnę. Tu przekraczamy skośnie w górę trawiastą grzędę na lewo i wchodzimy (9^{45}; an. 1933 m) do sąsiedniego żlebu, spadającego z siodła w grani, dzielącego turnię bliższą Koziej Turni, od tej ostatniej. Żlebem wydostajemy się na owo siodło (10^{20} 10^{55}; an. 2068 m). Stąd wzdłuż robionej już grani (por. „Taternik 1909 str. 18) b. łatwo na wierzchołek Koziej Turni (11^{20}). Droga bardzo praktyczna.

Przejście grani łączącej Kozią Turnię z Jagnięcym Szczytem *). Tegoż dnia.

Z Koziej Turni 11^{30}. Przejście w mowie będącej grani jest — z wyjątkiem jednego miejsca — najzupełniej proste i łatwe. Ową jedyną przeszkodą jest ostre wcięcie w grani, znajdujące się tam, gdzie pozioma mniej więcej linia grani od Koziej Turni zbliża się do stromiej się spiętrzającej południowo-wschodniej grani Jagnięcego Szczytu. Na dno owego wcięcia (an. 2100 m) schodzimy po stromej krawędzi dość ostrej i kruchej grani Stąd dwie drogi do wyboru: albo wytrawersować w prawo (na stronę Żółtego Stawku) na wygodny szeroki gzyms i zejść z niego tam, gdzie się urywa, przy pomocy wązkiej szpary na palce, na łatwy teren; albo też — zniżyć się z dna wcięcia kruchą rynienką 3—4 m ku Żółtemu Stawkowi i potem trawersować w lewo po pionowej kruchej ścianie do łatwego terenu. Oba sposoby są dość ryzykowne i wymagają troskliwej asekuracyi (przejście wcięcia zajęło nam blizko $^{3}/_{4}$ godz.). Jagnięcy Szczyt 1^{14}.

R. Kordys, J. Maślanka.

*) I. przejście (w przeciwnym kierunku) — I. Barcza i T. Szaffka 10 lipca 1910.

Z sezonu.

Tegoroczny sezon tatemicki trwał znacznie krócej niż w latach ubiegłych: żywszy ruch turystyczny rozpoczął się późno w lipcu, a już we wrześniu opustoszały znowu góry. Wycieczki w jesieni należały do wyjątków. Przyczyn zmniejszenia się ilości wycieczek szukać należy nie w pogodzie, gdyż lato było suche i upalne, lecz w pewnem oziębieniu się zapału taternickiego, zwłaszcza u polskich turystów, bezstronność bowiem przyznać każe, że taternicy węgierscy okazali więcej ruchliwości niż w latach ubiegłych.

Co do odkrywczej działalności w Tatrach, to ubiegły sezon przyniósł szereg pierwszorzędnych nowych dróg. Ponieważ w graniach tatrzańskich porobić dało się jedynie niewielkie „uzupełnienia", najpoważniejszymi problemami pozostały ściany. Z nowo odkrytych szlaków wyróżniają się przedewszystkiem przejścia: północnych ścian Ganku (poprzez Galeryę), Żłobistego (z Dol. Kaczej) i Małego Jaworowego. Obok nich ważnemi zdobyczami były przejścia ścian północnych Hrubego, Lodowego, Kołowego i Małego Durnego, południowej Czarnego. Rozwiązano też najważniejsze problemy w otoczeniu Dol. Pańszczycy (północne ściany Orlej Baszty, Wielkiej i Małej Buczynowej Turni).

Bardzo dodatni objaw stwierdzić można było w powtarzaniu dróg znanych.

Prawdopodobnie dzięki kilkakrotnym uwagom w naszym organie, że przejścia wymagające tylko samej techniki wspinania nie wyczerpują całej treści taternictwa, modne w poprzednich sezonach, krótkie wspinaczki nie cieszyły się popularnością; wschodnia grań Niebieskiej była — w porównaniu do przeszłego lata — dziwnie zapomnianą. Znacznie rzadziej też zwiedzano Żabiego Konia i Mnicha. Dokonano natomiast powtórzenia szeregu poważnych i pięknych dróg jak północnej ściany Jaworowego, Staroleśnej, Pośredniej Grani, Małej Kończystej i t. d.. W graniówkach rozwinęła się, już uprzednio dająca się zaobserwować, tendencya przebywania jak największych przestrzeni, t. zn. robienia długich, odległe szczyty ze sobą wiążących grani. Zwiedzano zatem grań Wideł (jednego dnia cztery partye węgierskich turystów), grań Soliska, Hrubego, Gierlachu, Mięguszowiecką Grań i t. d. — Tak więc tegoroczny sezon, pomimo pewnego wyczerpania się energii taternickiej, przyniósł objawy zdrowego rozwoju idei taternictwa, które w znacznej mierze — zwłaszcza wśród polskich turystów — pozbyło się niesympatycznych, ujemnych cech sportowych.

Wykaz wycieczek podany w poprzednich numerach uzupełnić należy następującemi wiadomościami:

21/X. dokonuje Gy. Komarnicki (sam) pierwszego zejścia z Rówienkowej Turni pn.-wsch. granią. W październiku przechodzą jako pierwsi J. Borkowski i J. Lesiecki pn ścianę Orlej Baszty.

W listopadzie A. Hefty, A. Mauerer i L. Rokfalusy z tow. zwiedzają grań Soliską od Bystrego Przechodu (częściowo nowa droga).

Niektóre szczegóły podane w 3 numerze Taternika wymagają sprostowania: Częściowo nową drogę na Szczyt Czarny znaleźli R. Kordys, J. Maślanka i M. Lerski. P przejście Wielkiej i Małej Buczynowej Turni odbyło się 23 sierpnia (a nie, jak wymieniono, 24 t. m.).

Notatki.

Od Administracyi. Celem uniknięcia zwłoki w doręczaniu numerów pisma, Administracya Taternika uprasza Członków Sekcyi i Prenumeratorów o zawiadamianie jej o każdorazowej zmianie adresu.

Zakopiański Oddział Narciarzy T. T. odbył d. 26 listopada w Zakopanem Walne Zgromadzenie, na którem przedewszystkiem dokonano zmiany statutu, celem przystosowania go do nowego statutu T. T. Oddział zmienił więc nazwę na „Sekcya Narciarska T. T." której celem jest „budzenie i uprawianie sportu narciarskiego, górskiej turystyki zimowej i innych sportów zimowych, oraz ułatwianie zwiedzania Tatr w zimie". Z innych zmian podnieść należy, że w ustępie „środki" wykreślono „wyścigi" pozostawiając jedynie „zawody", następnie że liczbę członków zarządu zwiększono do sześciu a dodano dwu zastępców. Ze sprawozdania wynika, że Oddział zaopatrzył na zimę po polskiej stronie Tatr cztery schroniska noclegowe t. j. przy Pięciu Stawach, na Hali Gąsienicowej, na Hali Pysznej i w Dolinie Starorobociańskiej, oraz schronisko dzienne na Kalatówkach (?), dalej wyznaczył około 20 km. dróg w Tatrach, z pomiędzy których na szczególną wzmiankę zasługuje przejście z Dol. Kościeliskiej do Cho-

chołowskiej przez Przełęcz Iwaniacką i droga z Doliny Chochołowskiej na Długi Upłaz. Jak na czteroletnią działalność wyniki to nader wybitne. Przewodniczącym został nadal p. M. Zaruski, jego zastępcą p. L. Loria

Sekcya Etnograficzna T. T. zawiązuje się obecnie w Zakopanem. Będzie to już czwarta sekcya w łonie Tow Tatrzańskiego.

O wypadku, jaki się zdarzył w Tatrach z końcem września otrzymaliśmy obecnie bliższe informacye. Dnia 23. września przedsięwzięli wycieczkę na Lodowy, zwykłą drogą, baronowa Mittnacht i inżynier Hess, oboje ze Stutigartu, prowadzeni przez przewodników Jana Breuera i Jana Patigę. Podczas drogi powrotnej, w miejscu gdzie szlak opuściwszy grzbiet schodzi ukośnie po trawiastych, podciętych u dołu upłazkach, w Dolinę Pięciu Stawów, odwiązała się bar. M. z liny W ciągu dalszego schodzenia, nagle, bez widocznej przyczyny i nie wydawszy głosu bar. M. zachwiała się i potoczyła po stoku przechodzącym ku dołowi w ścianę około 150 m w tem miejscu wysoką. Kiedy reszta towarzystwa zeszła na dół, znalazła już tylko zwłoki. Śledztwo przeprowadzone przez Węg. Tow. Karp. wykazało, że przewodnicy nie ponoszą winy, gdyż w miejscu wypadku teren, jakkolwiek eksponowany — jest już całkiem łatwy. Prawdopodobną przyczyną katastrofy był szampan, którym się uczestnicy wycieczki na szczycie Lodowego raczyli, nie mówiąc już o braku taternickich kwalifikacyi.

Uzupełnienie. W związku z drukowanym w poprzednim Nrze artykułem pt. „Lodowy Szczyt od Suchej Doliny“, donosi nam p. Janusz Żuławski, że wraz z panią J. Zembatową i pp. L. Lorią, K. Macudzińskim i Z. Rothaubem schodził do Suchej Doliny z części grani w pobliżu p. 2507 m, w lipcu 1908. Dolna część ich drogi była identyczna z drogą ks. Gadowskiego i p. Czerwińskiego, gdyż przechodzili koło szczątków wspomnianego w cytowanym artykule sznura (używając go do zjazdu), a dwu uczestnikom wyprawy wypadły przytem ciupagi, których w głębokim wówczas śniegu nie można było odszukać.

Do numeru niniejszego dołączony jest zimowy cennik znanej firmy przyborów turystycznych M. Langer z Wiednia, który polecamy uwadze Czytelników.

Z piśmiennictwa.

I. **Sprawozdanie Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie.** Kraków, 1911.

Wymienione w nagłówku towarzystwo ogłosiło niedawno drukiem sprawozdanie za lata 1909 i 1910. Działalność A. Z. S., propagującego różne gałęzie sportu (tennis, wioślarstwo, piłka nożna), rozciągała się również na taternictwo i narciarstwo turystyczne. W popularyzacyi turystyki stara się Związek przedewszystkiem o organizowanie wycieczek zbiorowych i pozyskiwanie dla swych członków jaknajdalej idących ułatwień i ulg (zniżki kolejowe i w schroniskach etc.). Największą zasługą pod tym względem jest utrzymywanie domu turystycznego, zapewniającego tani nocleg w Zakopanem. W sezonie letnim 1910 korzystało z domu turystycznego 330 osób. Niezbyt liczne wycieczki zbiorowe w Tatry ograniczały się do zwiedzania najpopularniejszych szczytów jak: Świnica, Rysy, Krywań, Gierlach. Liczba uczestników tych wycieczek wynosiła w r. 1910 256 osób. Co do działalności ściśle taternickiej poszczególnych członków sprawozdanie nie podaje żadnych danych, co uważać należy za lukę, jeśli zważymy, jak wybitną rolę w ruchu wysokogórskim odgrywają zagraniczne stowarzyszenia akademickie. Wycieczki narciarskie odbywały się przeważnie w Beskid, z tatrzańskich nie mamy nic szczególnego do zanotowania (podano jednak tylko wycieczki klubowe, z góry jako takie ogłoszone). Sprawozdanie wydane starannie, razi jednak niewłaściwa pisownia nazw: Babiagóra, Czarnystaw, Mięguszowiecka przełęcz (str. 23) i t. p. *m.*

Die neuen Turen in der Hohen Tatra im Jahre 1910 von Dr. Jenö Serényi. (Oesterreich.-Alpenzeitung, nr. 845 z 20 listopada 1911).

Zestawienie nowych dróg z r. 1910, różni się od podanego w naszem piśmie (nr. 1. 1911 str. 8.) w następujących szczegółach: Hlińską Turnię (I. w. ścianą wschodnią) zwiedził F. Kienast z p. Spitzkopfem jun., (nie F. Kienast i Dr. W. Wanjura). Nie podano w Taterniku: Żabia Przełęcz, wyjście wprost od pd. — M. Mondet, J. Kiss i A. Virág 19 czerwca; Wielka Turnia Litworowa, zejście ścianą wsch. —

H. i O. Schweickhardtowie 17. lipca; Czubata Turnia — waryant od pd. zach. — A. Grósz 2. sierpnia. Podaje następnie nieuwzględnione w Tater.: zejście ze Szczyrbskiego Szczytu do Kolistego Stawku (por. Taternik nr. 3. 1911 str. 51), przejście grani Hrubego (por. tamże str. 36), oraz waryant M. Świerza i K. Piotrowskiego na Żółtym Szczycie (por. Taternik nr. 6. 1910 str. 126). —*rk.*

Der Alpinist. Ein Führer in die Hochgebirgswelt von A. Fendrich. Stuttgart. Cena 1 Mk. 40.

Zaczyna obecnie wchodzić w zwyczaj, że podręczniki alpinizmu piszą ludzie, którzy zdobyli zaledwie początkowe wiadomości w tej dziedzinie. Do takich trzeba bowiem na podstawie lektury niniejszej książki zaliczyć A. Fendricha znanego nam już jako autora podręcznika narciarskiego. Wskutek braku pewnych kwalifikacyi u autora, cel wymieniony w tytule osiąga książka oceniana tylko w części; może mianowicie zachęcić do oddania się alpinizmowi i informuje o jego ideowej stronie, nie podaje jednak dostatecznych wiadomości o technice i organizacyi tegoż. Rozdziały poświęcone tym sprawom są za szczupłe a w wielu miejscach błędne. Wymienimy tu tylko główne braki. Określenia fachowe (str. 33-36) podane są zupełnie bez porządku i klasyfikacyi. W rozdziale o lawinach opisana jest tarcza śnieżna jako jedyna forma lawiny pyłowej (str. 41). Na str. 75 poleca autor używać raczków również do chodzenia po piargach. Na lodowcu każe iść najlepszemu naprzód a na skale (także przy wychodzeniu) z tyłu i t. d. Ustępy poświęcone historyi i organizacyi alpinizmu, zawierają mnóstwo błędnych i niedokładnych dat. Nonsensem jest również zestawienie w jednej rubryce wypadków jakie się stały przyczynami śmierci Zsigmondy'ego, Winklera i Purtschellera, każdy z nich bowiem czem innem był wywołany. Natomiast rozdziały o treści ogólniejszej, przedewszystkiem cztery ostatnie, napisane są bardzo dobrze, miejscami znakomicie tak we formie jak i treści. N. p. taki aforyzm (str. 93): „naucz się milczeć w górach, inaczej nie będziesz słyszał tego, co one Ci mają do powiedzenia, a to jest zawsze ważniejsze". W rozdziale o opisach alpinistycznych autor posunął się może za daleko. Można mu bowiem tylko przyklasnąć gdy piętnuje napuszystość, samochwalstwo i wewnętrzną nieszczerość niektórych płodów t. zw. nowego stylu, trudno jednakże odmówić subjektywnym opisom racyi bytu i wymagać, aby i dzisiaj jeszcze ludzie patrzyli na Alpy oczami Whympera, czy choćby Güssfelda i opisywali je ich piórem. Nikt przecież niema pretensyi do nowoczesnego autora, aby pisał stylem Lessinga, choć każdy wie dobrze, że ten ostatni o całe niebo przewyższał większość n. p. dzisiejszych dziennikarzy.

Niewątpliwie to skrajne stanowisko autor przejął od środowiska turystycznego, w którem się wychował. Szwajcarscy turyści czy to dzięki terenowi swej działalności (wycieczki lodowcowe), czy też dzięki większemu zdemokratyzowaniu tamtejszego alpinizmu utrzymali się do dziś dnia w stylu „dawnych dobrych czasów", podczas gdy ich monachijscy czy wiedeńscy koledzy usportowieni na wapiennych ścianach Kaisergebirge i Dolomitów wnieśli przytem do alpinistycznych opisów cały aparat literatury i filozofii, o jakim poczciwy Szwajcar niema pojęcia. Niemniej jednak od inteligentnego przedstawiciela tego kierunku wymagać należy większej tolerancyi. Książka jest wydana bardzo pięknie (mnóstwo dobrych reprodukcyi widoków górskich, lawin, formacyi lodowcowych etc.), lecz zarazem ogromnie nieporządnie. Korekta niżej krytyki, podpisy pod obrazkami poprzemieniane, lub całkiem niezrozumiałe. Rysunki (J. Kuttnera), mające ilustrować część techniczną przeważnie nieszczególne. Skały na nich przypominają kiepskie dekoracye teatralne, pozycye na str. 80 i 81 są całkiem nieodpowiednie a sposób zjeżdżania na str. 67 wprost zgubny. Wszystko zważywszy, książka jest godna polecenia..... ale nie jako podręcznik alpinizmu.

Z. K.